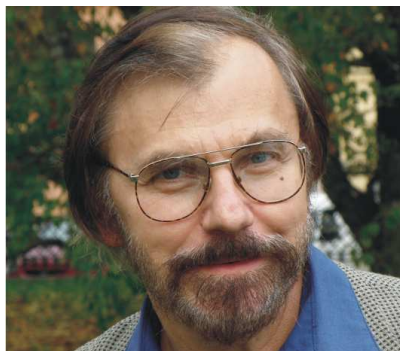


Listy do Pani A. (94)



Poprawni i bełkotliwi

Miła Pani!

Kwiecień był wyjątkowo udany artystycznie. Mam na myśli wyłącznie te imprezy, które dotyczyły mnie bezpośrednio. Niestety wszystkie organizowane przez ZLP albo przez ludzi zblizonych do kół związkowych są pomijane, umniejszane, spychane na margines. Inne bywają niewiele warte, ale snobistyczne i „politycznie poprawne”. Jednak chodzi o to, by robić swoje, nie zawsze upajając się własną „wielkością”.

A więc nie zważając na obiegowe opinie uczestniczyłem w Światowym Dniu Poezji UNESCO organizowanym przez „Poezję Dzisiaj”. Organizatorem jest Aleksander Nawrocki, który nie ma zwyczaju narzekać, oglądając się na innych, tylko z marszu przystępuje do działania – już po raz szesnasty w tym roku.

Było dużo młodych ludzi. Stało się już tradycją, że na tę imprezę przychodzą szkoły, i to nie tylko warszawskie. Uduje się Nawrockiemu co roku aktywizować uczniowsko-nauczycielskie środowiska, ich udział w Światowym Dniu Poezji staje się nieodzowny. Zawsze też niektórzy z nich biorą aktywny udział w programie artystycznym recytując wiersze, śpiewając pieśni, grając na różnych instrumentach.

Sala w Muzeum Literatury jest zawsze pełna, sama impreza trwa długo i jest bardzo różnorodna. Ale ciekawa. Nie czuję się nawet drętwienia tylnej części ciała, bo raczej nie myśli się o nie zawsze wygodnych siedziskach, ale o tym, co wokół się dzieje. A ja zastanawiam się, czy Pani już przyszła, czy w ogóle będzie...

Aleksander Nawrocki ma swój indywidualny, oryginalny sposób prowadzenia całości. „Pani Basiu, gdzie są moje okulary?” – zwraca się publicznie do żony, Barbary Jurkowskiej. Ktoś mógłby to uznać za „nieprofesjonalne” lub zgółą za demencję prowadzącego. Ale nic z tych rzeczy. Wprowadza to familiarny, domowy klimat, niweluje wszelkie dystanse, podkreśla serdeczność i swobodę spotkania.

A po południu w „Antrakcie” spotkanie poświęcone dziesiątemu numerowi „LiryDramu”. Jak ten czas... Całość prowadziła, jak zwykle, Marlena Zynger, redaktor naczelna kwartalnika. I tu wiersze, muzyka, słowo i zwierzenia autorów, a przede wszystkim miłe spotkanie, podczas którego można się poczuć z dala od politycznego jazgotu; w dawnej, artystowskiej atmosferze, jaka panowała

kiedyś, kiedyś w salonach i kawiarniach artystycznych.

Tym razem spotkanie to zbiegło się z zakończeniem Światowego Dnia Poezji. Było więc jeszcze bardziej uroczyste niż zazwyczaj. I tłumnie. Bo trzeba zauważyć, że na promocję „LiryDramu” przychodzi tak wielu słuchaczy, że należy zająć miejsce dużo wcześniej.

A potem prowadziłem daleko poza Warszawą spotkanie poetyckie z Anną Marią Musz, której wybór wierszy zatytułowany „Inkantacje” – polsko-bułgarski, w tłumaczeniu Łyczczara Seliaszkiego – właśnie się ukazał. Ta „daleka” miejscowość, to Trzebnica, rodzinne miasto tej młodej, znakomitej poetki. Wiadomo, jak trudno dziś wydać poetycką książkę. Tymczasem wiele życzliwości wykazał burmistrz Trzebnicy Marek Długozima, który wymiernie wspomógł druk „Inkantacji”. Aż chciałoby się, żeby w każdym mieście był taki burmistrz, otwarty na kulturę, chętny do wspomagania wszelkiego rodzaju artystów. A przy tym świetny gospodarz. Trzebnica stała się pięknym miastem, zupełnie nie przypominającym prowincji. Jasna, przestronna, zadbana, pełna pamiątek i zabytków. Nic dziwnego, że w takiej miejscowości w pełni mogła rozwinąć skrzydła Anna Maria Musz, znana m.in. z portalu Pisarze.pl, prasy literackiej, Internetu. Ostatnio została przyjęta do Związku Literatów Polskich.

Słuchaczy w Centrum Kultury nie było może przesadnie wielu, ale ci, którzy przyszli, z pewnością nie żalowali. Prowadziłem to spotkanie z satysfakcją, jaką może dać opowiadanie o poezji w ogóle, a o bogatej i oryginalnej twórczości Anny Marii szczególnie. Podobno się nawet nadmiernie nie jękałem... Miałem wrażenie, że Pani też tutaj przyjechała, więc chwilami ogarniała mnie trema, niekiedy chęć rozpostarcia pawiego ogona.

Szkoda tylko, że w życiu literackim panuje straszny chaos, oknami i drzwiami wlewają się rozmaite popluczyny, które usiłują zatopić dobrą twórczość. A są przecież u nas młodzi, rzeczywiście zasługujący na dużą uwagę, m.in. Małgorzata Lebda, Dominika Baraniecka, Dominik Piotr Żybertowicz... Jest wielu innych, ale tych jednym tchem wymieniam tutaj po prostu dlatego, że to moje najnowsze lektury. Są to poeci indywidualni, nie ulegają manierze Biura Literackiego, nie silą się na „poprawność literacką” czyli udziwnienia, brak kompozycyjnej logiki. Tak jak istnieje „poprawność polityczna”, tak coś w tym rodzaju widać w poezji. Wiersze o przejrzystej kompozycji, jakimś wyraźniejszym przesłaniu, uważane są za gorsze. Natomiast bełkot święci triumfy, bo jest niezrozumiały, a snobistyczna pseudokrytyka nie chce się przyznać, że nic z tego nie rozumie. Zresztą nie tylko ona. Potwierdzają to publikacje w pismach młodoliterackich czy decyzje jurorów kwalifikujących utwory do mniej lub bardziej ważnych nagród. Nie mówmy już w tej chwili o względach środowiskowych czy koteryjnych.

Zbytorna dostępność publikacji była kłęską. Dziś każdy może zamieścić swój (lub splagiatowany) wierszyk w internecie: może tego naproduktować setki. Będzie obnosił się z zaszczytnym tytułem „poety”. A kiedyś... Gdy Julian Tuwim wysyłał swoje pierwsze utwory do oceny Leopoldowi Staffowi, ten czynił uwagi i radził nie spieszyć się z drukiem. Dosyć długo Tuwim „terminował” u Staffa, zanim odważył się opublikować. I nie twierdził, że Staff to anachroniczny głupiec, a on,

genialny Julek, jest prawdziwym poetą. I może by nie był, gdyby z pokorą nie przyjmował rad starego mistrza, i nie pracował nad sobą, nad poetyckim warsztatem. Dziś nie ma takich punktów odniesienia, autorytetów, jakie były jeszcze po wojnie, choćby Przyboś, Grochowiak, Gąsiorowski, Jerzyzna, Nowak, Śliwiak, Śliwonik, Tchórzewski... Wtedy młodzi poeci obserwowali ich twórczość, uczyli się od nich, co nie miało nic wspólnego z jakimś epigonizmem. Dziś najrozmaitsze młokosy albo starsze paniusie basują sobie i utwierdzają się we własnej wybitności.

Teraz w telewizji jest emitowany serial „Bodo”. Następny przykład, ile pracy trzeba włożyć, ile przeżyć upokorzeń, by umocnić swój talent, nabrać mistrzostwa, opanować zasady rzemiosła. Bodo, którego pamiętamy jako wybitnego aktora, został nieźle przeczolgany przez dyrektorów teatrów, starszych kolegów, nawet rówieśników? Wyszło mu to na źle? To samo dotyczy sztuki słowa. Miejmy zatem nadzieję, że dobre czasy artystycznej dyscypliny, poszanowania twórczości innych, powrócą. Jak długo można żeglować po mętnych morzach bez busoli, którą się zresztą własnoręcznie rozmagnesowuje?

Z jednej strony sięganie do tradycji jest dobre, ale pod warunkiem, że się jej nie kopiuje, a przetwarzają; z drugiej zaś, jak to się dzieje w naszym powszednim życiu, jest szkodliwe. Dzisiaj nie da się skopiować dwudziestolecia międzywojennego, nie da się rządzić tymi samymi metodami, zwłaszcza, że współcześni „rządcy” są dużo głupszy, co szczególnie widać w przypadku autorytatywnych decyzji dotyczących Puszczy Białowieskiej czy zaostrzenia przepisów antyaborcyjnych. Patrząc na całą decydencką zbieraninę, na ten zgiełk, na dyletantów zajmujących stanowiska przeznaczone wyłącznie dla specjalistów, trudno z drugiej strony nie być za aborcją. Gdyby wyskrobano szereg idiotów, anachronicznych homunkulusów, może nie byłoby dziś takiego problemu, gdyby... nie urodzili się inni idioci, co nie jest pozbawione dużej dozy prawdopodobieństwa. Cóż jednak byłby wart świat bez błazneków? Bez tych, którzy mówią do siebie niczym jądra podczas stosunku: „patrz, szef zapieprza, a my się objamy...” Zresztą, kto może rzucić kamieniem? Wyszycyśmy z tej samej gliny, tylko może różnie wypalanej. I dlatego jest wesoło, a poczucie humoru daje dystans i nie pozwala się zbytno przejmować.

A więc nie przejmujmy się! Zażywajmy lekarstwa w postaci śmiechu, szyderstwa, dystansu, spojżenia oczami karykaturzysty na wszystko, co nadęte, sztuczne, pozerskie albo cięło naiwne. Wiem, że trudno się nie denerwować szkodnictwem, beczelną głupotą, absurdalnymi ideologiami, śmiercią koni, które stały się ofiarami polityki oraz ideologii, usankcjonowanym niszczeniem przyrody, ale miejmy na względzie własne zdrowie psychiczne. Tamto zniknie, zdechnie, nie pozostawi śladu. My nie powinniśmy zdychać razem z kretynskimi pomysłami. I tej równowagi, odporności każdego dnia życzę Pani najserdeczniej –

Stefan Jurkowski

